

Sąd doraźny na cmentarzu.

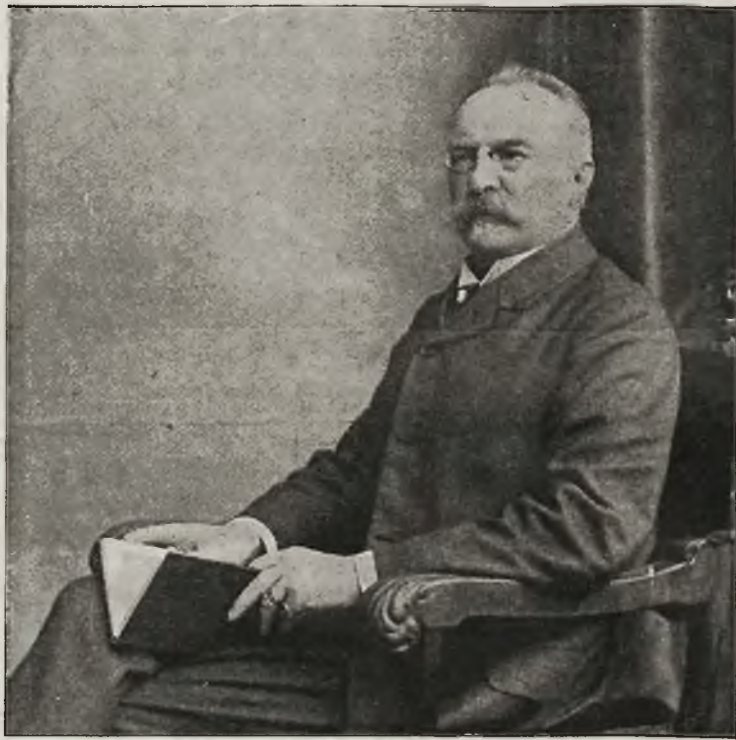
(Do ilustracji tytułowej).

W poprzednim tygodniu publiczność lwowską żywo zajmowała sprawa kilkunastu letniego chłopczyka, Olesia Opalińskiego, którego rodzona matka wraz z ojczymem Eliaszem Debrowskim katowała przez pewien czas do tego stopnia, że dziecko zmarło. W sprawie tej toczy się już śledztwo sądowe, ale wyrodnej matki nie aresztowano na razie z tego względu, że znajduje się w przededniu rozwiązania. Smutna ta historia, zanim przyjdzie do procesu sądowego, znalazła już osobliwy — jak na lwowskie stosunki — epilog na pogrzebie zamordowanego dziecka. Przed kostnicą szpitalną, skąd miał wyruszyć kondukt pogrzebowy, zgromadził się, na długo przed rozpoczęciem ceremonii, tłum kobiet z tych warstw, do których należy Debrowski, jako stróż kamieniczny.

Od pierwszej chwili pomrkn wśród bab obecnych zapowiadał, że postanowiły one skorzystać ze sposobności i wykonać sąd doraźny za skatowanie na śmierć chłopczyka. Wrzawa wzmogła się, gdy kapelan szpitalny ukończył modły i wyniesiono trumienkę, za którą postępował właśnie ojczym Olesia w towarzystwie jakiejś kobiety. Wiedziano zaś, że żona jego pozostała w domu, więc gdy powstała pogłoska, że Debrowski idzie ze swą kochanką, roznamietnienie tłumu wzmogło się jeszcze bardziej. Pod adresem bezlitości ojczyma zaczęły się po drodze sytać groźby słowne, a co krok na głowę jego padała grudka śniegu lub lodu. Jego towarzyszkę uchronił od podobnego losu ktoś z jej bliższych znajomych, zapewniwszy, że niesłusznie ją posądzano, jakoby była kochanką Debrowskiego.

Ledwie orszak pogrzebowy minął bramę cmentarza Łyczakowskiego i wkroczył w prawą aleję główną, rzuciły się kobiety z całą gwałtownością na Debrowskiego i poczęły go okładać pięściami po głowie, drapać po twarzy, wołając ciągle: „Masz za to, żeś dziecko mordował!“ — przyczem padały słowa, nie dające się tutaj powtórzyć. Ten nie odpiął nderzeń, tylko idąc dalej za trumną z rezygnacją, prosił, by go zostawiono w spokoju. Roznamietnienie kobiet przybierało coraz większe rozmiary. Jedna z bab podstawiła mu nogę. Debrowski upadł na knę śniegu, a wtedy z okrzykiem: „bić draba!“ i mnóstwem przezwisk ordynarnych, rzuciła się gromada kobiet na niego i za-

częła bez miłosierdzia bić go i kopać... Nie wiadomo, jakby się skończył ten sąd doraźny, gdyby Debrowskiemu nie udało się niespodziewanie wstać, a wówczas poczał on co sił umykać i mimo pogoni roznamietnionych bab, zdołał przeskoczyć przez parkan od strony Pohulanki i znalazł się poza obrębem cmentarza, gdzie schronił się w miejscu bezpiecznym.



Jubileusz przyjaciela dzieci: Poeta-jubilat Władysław Bełza.

Jubileusz przyjaciela dzieci.

W r. 1867, a więc przed czterdziestu laty, po jawiła się w Warszawie, nakładem księgarni Arensteina, mała książeczka, zatytułowana „Podarek dla grzecznych dzieci“ a zawierająca zbiór wierszyków. Autorem ich był nieznany przedtem w literaturze poeta, dwudziestoletni wówczas młodzieniec. Władysław Bełza. Od tego czasu poczynając, przez długi okres czterdziestolecia, pojawiały się coraz to nowe utwory Bełzy, prawdziwe perełki poezji, dzieciom poświęcone, jak „Zakłętą dzwony“, „Dzieci i ptaszki“, „Abecadnik w wier-

szykach“ i najpopularniejszy ze wszystkich „Katechizm polskiego dziecka“, zaczynający się od tak powszechnie znanych słów „Kto ty jesteś? — Polak mały.“ — I dziś niema chyba domu polskiego, gdzieby nie było któregoś z tych dziełek Bełzy, nie ma dziecka polskiego, któreby imienia jego nie znało, a jego miłych wierszyków przy gościach nie wygłaszało. Bo ten serdeczny, szczerzy przyjaciel dziatwy polskiej umiał ze słów „uwijać tęczę“ i łączyć nią serduszką tej dziatwy, bo n-miał w tych wierszykach prostych wyrażać najszlachetniejsze zasady, podnosić uczucie patriotyczne, miłość Boga, miłość Ojczyzny, miłość ludzi. I stał się jednym z najpopularniejszych i najbardziej kochanych autorów polskich. A że od chwili pojawienia się pierwszej książeczki Bełzy mija właśnie lat czterdzieści, więc z tej okazji skorzysta ogół społeczeństwa polskiego i da wyraz swej wdzięczności i uznania dla zasłużonego pisarza.

Władysław Bełza jest Warszawianinem z rodu, gdzie w r. 1847 njrzał światło dzienne, jako syn przyrodnika śp. Józefa. Młodość miał pełną wrażeń wstrząsających, które też pozostawiły ślady w duszy i umyśle młodzieńca. Z powodu wypadków politycznej natury musiał 1867 r. opuścić Warszawę i pójść z innymi na tułaczkę. Wyjechał na-przód do Krakowa, a wnet potem do Wene-cyi, Padwy, Zurychu, Paryża. Bawił na-stępnie przez pewien czas w Poznaniu, a tam należał do założycieli „Tygodnika Wielkopolskiego“, za patriotyczną działalność został jednak wydany na granic cesarstwa niemieckiego. Przeniósł się tedy do Lwowa i tu osiadł na stałe, gdzie otrzymał stanowisko naczelnika zarządu wydawnictw szkolnych w zakładzie narodowym im. Ossolińskich.

I dotąd we Lwowie przebywa, otaczany ogólnym szacunkiem, ceniom, we wszystkich kołach, zawsze szczerzy i otwarty, przystępny, zawsze wesół i pełen humoru.

Do licznych życzeń, jakie w roku jubileuszowym zasłużony autor „Zakłętą dzwonów“ otrzyma, dołączamy ze swej strony serdeczne: „ad multos annos“.

* * *

Do artykułu tego dołączamy portret p. Władysława Bełzy według ostatniej jego fotografii.



Fot. „Nemo“.

Goście lwowscy w Warszawie: Uczestnicy wycieczki chóru słuchaczy politechniki lwowskiej, zwiedzający budowę trzeciego mostu na Wiśle w Warszawie.